



arch. Piotr M. Glegoła
architekt IARP

Jak wytłumaczyć zajęcowi

Tak zasadniczo to pomysł jest wredny – z tym się zgadzam – dlatego od razu wyjaśnię jego genezę, żeby nie było, że to wyłącznie moja wina. Bo pomyślcie jak inaczej wytłumaczyć nam, architektom, że powinniśmy leczyć się z pewnych zachowań, skoro racjonalne argumenty do nas nie przemawiają? Zupełnie jakby tłumaczyć martwemu zajęcowi...

1//

Zaczął się w poczekalni u lekarza specjalisty. Siedziałem w tym przedsiönku vel korytarzu już jakiś czas i zapowiadało się na drugie tyle... Moja jaźń starała się rozpaczliwie stępić wszystkie zmysły, atakowane intensywnie tym czym bym nie chciał, ze strony murów, mebli, a szczególnie ze strony towarzyszących mi tam współchorych.

Oczywiście wiem, że lepiej byłoby się leczyć prywatnie, bo ładnie pachnie i jest szybciej, ale na klasę premium trzeba mieć nadprodukcję kolorowych papierków z podpisem skarbnika NBP. A ja się pytam, jak mam osiągnąć ich nadprodukcję, jeśli ścigam się w „konkursach” ofert z wycenami typu 40% mojej?

Mogę domyślać się, że młody adept architektury, który składa ofertę za mniej niż połowę realnej ceny, przy okazji uważa, że taki ja, jako osoba w wieku dojrzałym, już dawno powinienem (gdym miał oczywiście honor, ale jak widać nie mam) poddać się eutanazji, a teraz to generalnie marudzę, żeby nie użyć bardziej męskiej formy oceny.

Ale do czasu Młody Architekcie... do czasu... Proszę pomyśl chwilę - praca oraz dyspozycyjność 24/7, stres na okrągło, nieprzespane noce, przepracowane bez wypoczynku weekendy, złe naprędcie sklecone z byle czego posiłki. Tak... To tylko kwestia czasu i będziesz siedział obok mnie, w tej poczekalni, i to prawdopodobnie w młodszym niż ja wieku.

2//

Do podobnie mocnej refleksji nad przewrotnością przemijania i tworzenia, w trakcie którego powoli znikamy, zainspirował mnie pewien

performans¹, który widziałem niedawno w warszawskim Studium Teatralnym. Artystki w genialny sposób zilustrowały jak w trakcie naszego istnienia znikamy pozostawiając coś po sobie lub nie... jednocześnie niejako ilustrując sobą, co można zrobić z ciałem, aby przekazać sztukę. Widowisko to nawiązywało do innego performansu² (miał miejsce ponad 50 lat temu), podczas którego artysta przez trzy godziny nosił na rękach martwego zajęca i szeptał mu coś do ucha, chodząc po galerii od obrazu do obrazu.

Analogie wydały mi się oczywiste, bo przecież jesteśmy związani ze sztuką, niezależnie od tego jak traktujemy architekturę, to z definicji jest ona sztuką. A uprawianie naszego zawodu również polega na (m.in.) ustawicznym i trudnym tłumaczeniu czegoś klientom, wykonawcom, urzędnikom, ustawodawcom czy wreszcie sobie nawzajem. Szczególnie uwielbiamy chyba to ostatnie, mając najgorsze w tym wyniki. Jednocześnie cały czas robimy ze sobą, swoim zdrowiem i ciałem przedziwne rzeczy (np. te słowa piszę w nocy o 3:57 najwyżej nie z powodu bezsenności... a zaraz potem muszę skończyć na rano opis do projektu).

3//

W ten oto sposób – sumując refleksje z poczekalni i obu performansów – przyszedł mi do głowy pomysł, że potrzebę dbania o własne zdrowie (zawodowe!) musimy zacząć wpajać sobie jak najwcześniej, a skrupkę należy nasączać odpowiednio długo, metodycznie i systemowo.

Proponuję więc, abyśmy wprowadzili... obowiązek przedłożenia, przed egzaminem na uprawnienia zawodowe, kilku zaświadczeń od lekarzy specjalistów. Co ważne dla powodzenia misji – muszą to być „glejty” uzyskane wyłącznie w ramach Publicznej Służby Zdrowia. Dlaczego? Zrobmy sobie małą wizualizację...

Od lekarza pierwszego kontaktu w rejonowej przychodni (czas oczekiwania na wizytę: 2 tygodnie), adept architektury uzyskuje skierowania do odpowiednich specjalistów.

Pierwszym niech będzie psychiatra (dziś wiem, że od tego bym zaczął). Po pobudce o 5:00 rano i ustawieniu się w kolejce do rejestracji adept uzyskuje upragniony termin wizyty (na środę za 16 miesięcy).

Do ortopedy, bo bóle kręgosłupa to nasze schorzenie zawodowe, można się niby umówić telefonicznie, ale telefon przecież zajęty cały dzień, a zapisów przez internet nie ma – wiadomo. Szczęśliwiec w okienku dowie się, że został zapisany na listę rezerwową pod numerem 1238 (lekarz przyjmuje 3 osoby dziennie), ale oddzwonią mniej więcej za rok, bo może ktoś zrezygnuje albo umrze i zwolni się miejsce.

Dodajmy jeszcze okulistę (czas oczekiwania 1,5 roku), zdjęcie RTG klatki piersiowej (za 6 miesięcy) i laryngologa (już nawet nie sprawdzałem terminów)...

Jakby nie liczyć, zebranie wymaganych opinii specjalistów zajmie adeptowi nie mniej niż 3-4 lata. Dlatego myślę, że tak przygotowany „zawodowo” młody człowiek (tzn. mam nadzieję, że jeszcze młody) do końca życia będzie pamiętał, że nie chciałby już musieć korzystać z państwowej opieki zdrowotnej.

I w konsekwencji, po otrzymaniu uprawnień, tak będzie formułował swoje umowy z klientami i tak wyceniał swoje projekty, aby mógł przeznaczyć stosowny procent wygenerowania na leczenie prywatne w przyszłości.

I jak myślicie – udałoby się?

*Tekst z gwiazdką, ale dużym drukiem

Tylko proszę darujcie sobie stawianie mi zarzutu, że taką „ścieżką zdrowia” utrudniłbym dostęp do naszego zawodu. Bo utrudnione to jest jego wykonywanie. A zarzuty należy postawić raczej wszystkim tym, którzy nie szanują innych go wykonujących... Pomysł jest wredny, uprzedzałem na początku. Ale jak inaczej to wreszcie wytłumaczyć? ■

1_Jak umierają zajęce/Prywatna inwentaryzacja, performans duetu TukaWach – Magdalena Tuka i Anita Wach, Studium Teatralne, Warszawa, grudzień 2016

2_Jak wytłumaczyć obrazy martwemu zajęcowi, performans Josepha Beuysa, Galeria Schmela, Düsseldorf, 26 listopada 1965